

Ragus Eryk

Z prochu powstałeś...

Do wschodu pozostało niewiele czasu. Dziewczyna szybkim krokiem zmierzała w kierunku portu. Odwilż przyszała nieoczekiwanie i teraz całe Stapleport tonęło w breji topniejącego śniegu. Z dachów starych kamienic strumieniami spływała woda, rynny ugięły się pod jej nadmiarem. Skapujące krople biły werblami o asfalt.

O tej porze sygnały karetek pogotowia milkły, milkły policyjne syreny. Nawet kryminaliści, wykończeni całonocnym chłaniem i rozbojami, kładli się spać. Między nocą a dniem istniała godzinna przerwa, podczas której ciała zdechłych psów stygły, w szpitalach dogorywały ofiary napadów, szczury pierzchały do kanałów, a kruki rozdziobywały resztki padliny. Dzięki temu wraz z nadejściem świtu mieszkańcy Stapleport mogli zastać w swym mieście należyty porządek.

Do świtu wciąż pozostawało nieco czasu, choć z każdą sekundą coraz mniej. Dziewczyna, będąc tego świadomą, szła szybko. Podeszwy sfatygowanych butów chlupotały w kałużach. Na tle nieba zamajaczyły wielkie magazyny. Niewiele lamp ulicznych działało, częściowo zastępował je blask gwiazd. Raptem szmer kapania został rozsadzony przez mrozący krew w żyłach wrzask. Nie dało się go nie słyszeć, a jednak dziewczyna nie słyszała.

June - tak nazwali ją rodzice, ponieważ urodziła się w czerwcu. Taka właśnie była - zielone oczy pełne życia, włosy jak ogień oraz smukła twarz, okraszona piegami. Kobieta o niesłychanym temperamencie, przenikliwym wzroku, wyobraźni i dłoni malarki, pochodząca z zapadłej dziury, nazwy której często pragnęła zapomnieć. Od małości marzyła wyłącznie o tym, aby na własne oczy ujrzeć wschód słońca nad oceanem i uwiecznić go przy pomocy farb. To marzenie wreszcie miało się spełnić.

Nie mogła usłyszeć wrzasku. Natura obdarzyła ją wspaniałym wzrokiem, ale jako zapłatę zabrała słuch i głos. Zresztą, w tej chwili June niewiele na tym traciła - zaledwie pięć sekund strachu, pięć sekund oczekiwania na nieuchronne, pięć sekund, ciągnące się dłużej, niż cała wieczność. A tak - tylko kątem oka ujrziała oprawcę, nim ten powalił ją na ziemię.

Wpił się w jej delikatną, łabędzia szyję, jeszcze zanim zdała sobie sprawę z ataku. Poczuła ból zrazu słaby, który po chwili eksplodował jak granat, promieniując na wszystkie części ciała. Przerazenie dodało jej sił. Poczęła rwać się zapamiętała. Biła, drapała i gryzła, lecz krwiożerca nie ustępował. Powoli traciła dech. Obraz przed oczami zawirował, pociemniał, cierpienie minęło.

Ogarnęła ją senność.

Jeszcze jak przez mgłę zobaczyła jego twarz, gdy odessał się, zaspokoiwszy głód. Zamknęła oczy, bezwiednie opuściła głowę. Wyczuła, na wpół martwa - był ranny. Wciągnęła delikatną woń głęboko w nozdrza. To miał być jej ostatni oddech, lecz, znów jakby bezwiednie, uniosła się lekko w kierunku jego ramienia. Gdy tylko językiem musnęła posoki, przestała nad sobą panować.

Junessała krew zachłannie, choć nie potrafiła jeszcze docenić jej smaku oraz wartości. Zarazem uważała, by nie uronić ani kropli. Aż w końcu padła zdyszana na bruk. Dwie wielkie łzy spłynęły po jej policzkach. Oprawca pierzchł. Zostały tylko ból, cierpienie, samotność. Brak zrozumienia dla tego, czym się stała.

* * *

Zegar wybijał północ. W rezydencji umiejscowionej na wzgórzu nieopodal centrum Stapleport, zapalono światło. Wysoki mężczyzna otworzył okno na piętrze. Palił fajkę, nie robiąc sobie nic z potężnie dmącego wiatru, który drzewa w ogrodzie przyginał do samej ziemi. Miało się wprost wrażenie, iż za chwilę wszystkie one pękają jak zapałki. Deszcz przemieszany ze śniegiem zacinął nieprzerwanie od południa. Nikt chyba nie spodziewał się takiej odwilży po całym miesiącu mrozów.

Ogrodowa furka zaskrzypiała zawiasami. Na ścieżkę, prowadzącą do frontowych drzwi, wkroczyło dwóch mężczyzn. Ich również nie miał się wiatr. Skłonili głowy lekko przed gospodarzem, on uczynił to samo. Przy swej nieliczej budowie ciała, we fraku i z fajką-berłem w dłoni, wyglądał dostojnie niczym monarcha.

Goście nie pukali. Bezceremonialnie wtargnęli do holu, na wieszaki zarzucili mokre płaszcze. Nie zdjąwszy nawet butów, półkolistymi schodami ruszyli na piętro, plamiąc czerwone dywany błotem. Tego jednego w mieście dziś nie brakowało.

Ludwik czekał w swym pokoju, dogaszając fajkę. Kandelabry umieszczone na biurku nie rozjaśniały ciemności tak dobrze, jak żarówka, ale on lubił ten specyficzny nastrój tańczących cieni. Lubiał światło delikatne, mistyczne, dzięki któremu mógł podziwiać piękno swego domu. Antyczne meble, arrasy zwisające ze ścian, bezcenne obrazy... Na zgromadzenie wszystkich tych kosztowności poświęcił kilkaset lat, podczas których przewędrował świat wzdłuż i wszerz.

Drzwi rozwarły się. Zmierzył wzrokiem przybyłych. Twarze poprzebijane rzędami kolczyków, wymyślne fryzury, czarne, skórzane kurtki i także same spodnie, obwieszane łańcuchami. Ludwik nienawidził anarchistów z całego serca. Nie potępiał ich poglądów, ba! - czasem sam był im bliski. Nienawidził sposobu, w jaki je manifestowali. I tego... błazeństwa!

Na widok mułu, ściekającego z buciorów, mina zrzedła mu stokroć bardziej. Obrzucił mężczyzn pogardliwym spojrzeniem, co na nich nie uczyniło najmniejszego wrażenia. Zaciśnął pięści, lecz raptem, zdawszy sobie sprawę, że oni traktują go tak samo, jak on ich - niczym barwnego pajaca, powściągnął swój gniew. Jakże to się stało, że stoimy teraz po jednej stronie! - nieopatrznie zadał sobie w myślach pytanie. Czy którykolwiek z anarchistów odczytał je, czy też nie - nie dał tego po sobie poznać.

- Przyszliśmy dogadać szczegóły - zaczął wyższy, Derek, jeśli dobrze pamiętał Ludwik. Imienia niższego, zazwyczaj milczącego, za cholerę nie potrafił sobie przypomnieć. - Gdzie i kiedy.

Gospodarz nie odpowiedział od razu. Wyraźnie wahał się.

- Wciąż nie wiem, po co wam...

- Nie twój zaszary interes. Umowa jest prosta - dostarczacie towar, my płacimy i po buziaku. Więc teraz mów, gdzie i kiedy - syknął Derek, dumnie unosząc głowę.

Ludwik kolejny raz zignorował pytanie. Podszedł do okna. Wciąż wiało mocno, ale przyciśnięte do ziemi drzewa jakoś nie chciały pęknąć.

- Nie tym tonem, chłopcze - zaczął w końcu, obserwując rozpaczliwą walkę zapalek z wichurą. - Nie tym tonem. Rada nie zamierza was tolerować. Ja otwieram wam drogę do wielkiego świata. Jedno moje słowo wystarczy, aby sprowadzić tutaj zastępy sędziów - odwrócił się. Anarchiści słuchali uważnie, choć swą postawą wyrażali coś zgoła odwrotnego. - Robię to tylko dlatego, że chcę mieć święty spokój. Uszanujcie moją dobrą wolę.

Na moment zapanowała niezręczna cisza.

- G d z i e i k i e d y - przerwał ją w końcu wyższy suchym głosem.

- Jutro, piąta, hala numer jedenaście. A teraz spierdalajcie stąd.

Wyszli. Niższy czuł, że nadal są obserwowani z okna na pierwszym piętrze. Furka zaskrzypiała. Skręcili. Między gęstymi świerkami czekało jeszcze troje.

* * *

W Stapleport ujawnili się niedawno, niespełna rok temu, od razu czyniąc sporo szumu. Przez kilka miesięcy z pierwszych stron lokalnych gazet nie zniknęły artykuły, dotyczące "zbiorowego samobójstwa bliżej nieokreślonej satanistycznej grupy". Tak przynajmniej po długim i żmudnym dochodzeniu sprawę skwitowała miejscowa policja. Ludwik użył wszystkich swych wpływów, aby prawda nie wyszła na jaw. W ostatecznym rozrachunku pomogło mu niesamowite wręcz szczęście, jeżeli nazwać nim można tajemnicze zaginięcie głównego świadka.

Niedługo po zamknięciu sprawy Ludwik otrzymał list, opatrzony woskową pieczęcią. Taka korespondencja pochodzić mogła tylko od jednej osoby. Pamiętał jak dziś - gorączkowo rozerwał kopertę, rozwinął. Już od pierwszych słów potwierdziły się jego obawy.

Książę Stapleport!

Incydent z anarchistami nie może się więcej powtórzyć. Wasza pobłażliwość w tej sprawie jest dla Rady rzeczą zupełnie niezrozumiałą. Przyzwolenie na łamanie Maskarady to największe z wykroczeń, które będzie surowo karane. To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Załatwcie tę sprawę jak najprędzej.

Książę Chicago

Na stanowisko Księcia zapracował w pocie czoła, niejednokrotnie ryzykując życiem, a jeszcze częściej je odbierając. Pragnienie objęcia tego stanowiska odczuł dopiero w wieku około (dawno już stracił rachubę) czterystu lat. Nie motywowało go bynajmniej pragnienie władzy, nie, zgoła odwrotnie - chęć ustatkowania. Wbrew pozorom nieśmiertelność nie była darem, lecz największym przekleństwem. Gdy nadchodził czas, że widziało się już wszystkie zakątki świata, smakowało krew wszystkich dziewczic i kurew, jedyne, co pozostawało, to wyczekiwanie.

Każdy wampir prędzej czy później zaczynał pragnąć śmierci, lecz równocześnie nie miał dość siły, aby dokonać rytualnego samobójstwa. Pozostawało bierne wyczekiwanie. Na co? Na co może czekać istota, która nie potrafi umrzeć? Każdy zadawał sobie to pytanie i jak dotąd nikt nie znalazł odpowiedzi. Wiecznego snu - tak mówiono - dostąpi ten, kto zupełnie wyciszy Bestię w sobie. Twierdzenie to więcej miało wspólnego z legendami, aniżeli prawdą, a jednak wierzono i czekano. Bo cóż innego pozostawało?

Gdy Ludwika dopadł marazm, ostatek woli zdobył stanowisko Księcia w niewielkim i spokojnym mieście. Cekał, wciąż taki sam, niezmienny. Wiele plotek krążyło o posiadłości na wzgórzu nieopodal centrum. Ludwik słuchał ich wszystkich z rozbawieniem, choć przecież wszystkie mówiły prawdę. Demon, duch, diabeł - wszystkie te określenia pasowały do niego jak ulał. Wciąż były to jednak tylko plotki, służące gospodyniom do wypełnienia nudnego popołudnia w nudnym mieście.

Stapleport, w przeciwieństwie do Księcia, wciąż ulegało zmianom: upadał przemysł, bezrobocie wzrastało, kwitła przestępczość. Wszystko to jednak odległe było Ludwikowi i jego problemom, które pojawiły się dopiero wraz z nadejściem anarchistów. Wtargnęli z buciorami w jego ustatkowaną egzystencję. Przestał czuć się pewnie, nie mógł już biernie czekać. Musiał walczyć o swą pozycję. W młodości uwielbiał rywalizację, bezpardonową, krwawą walkę, lecz w tej chwili była to ostatnia rzecz, której pragnął.

Zamierzał więc rozwiązać problem anarchistów w sposób najprostszy i najskuteczniejszy zarazem (przynajmniej tak mu się wydawało). Początkowo w propozycji zawiązania przymierza weszli oni podstęp, z czasem jednak rozgryźli, czego tak naprawdę oczekuje Ludwik. Zrozumiawszy to, stali się jednocześnie zuchwali i pyszni. Książę Stapleport znosił ich fochy, póki osiągał zamierzony cel, ale też wiedział, że idylla nie może trwać wiecznie. Anarchiści się zmieniali - to był podstawowy problem.

* * *

Zaniepokojenie wdarło się w jego myśli następnej nocy. Choć jak dotąd anarchiści nie sprawiali większych problemów, wiedział, że bez przerwy musi mieć ich na oku, niczym piętnastoletnie szczyle. Tym bardziej, że właśnie w tej chwili miała miejsce istotna transakcja. Dwa tygodnie wcześniej anarchiści zażyczyli sobie stu sztuk karabinów maszynowych. On nie wiedział, po co aż tyle, oni nie chcieli powiedzieć. Dobrze, stwierdził dla świętego spokoju, będziecie mieli.

Układ między nimi a Księciem działał na prostych zasadach - wy nie robicie szumu w Stapleport, ja daję wam wolną rękę - poza granicami miasta możecie wyczyniać, co tylko dusza zapagnie. Póki druga strona akceptowała te warunki, mógł załatwić wszystko - tony ciężkiej broni, materiałów wybuchowych oraz każdego innego sprzętu. Co dopiero sto sztuk karabinów! Mimo wszystko jednak taka transakcja budziła niepokój.

Koło szóstej rano, gdy nadejście świtu pozostawało kwestią minut, zawiasy przerdzewiałej furtki zaskrzypiały. Ludwik słyszał doskonale, bo wiatr wreszcie ucichł. Wyrzął przez okno. Prócz grupy pięciu swych zaufanych ludzi, miał jeszcze jednego gościa - młodą dziewczynę. Była nieprzytomna, niesiono ją na rękach. Książę doskonale wyczuwał wzburzenie przybyłych.

Zbiegł do holu, bo powitać ich przy drzwiach. Wtargnęli do posiadłości zdyszani. Wyglądali na nieźle poturbowanych - na ich ciałach, które rozpoczęły już proces błyskawicznej regeneracji, zwisały strzępy ubrań. Niczym śmieć zrzucili dziewczynę na podłogę. Nawet nie drgnęła. Gdyby Ludwik nie wyczuwał, iż jest Przemienioną, niewątpliwie uznałby ją za trupa.

- Co się stało? - zapytał, choć właściwie już wiedział.

- Transakcja. Pieprzeni anarchiści zaatakowali nas - wycedził przez zęby Andrew.

- Dlaczego?!

- Cholera, nie mam pojęcia. Wszystko przebiegało pomyślnie, gdy nagle jeden z nich sięgnął po broń.

- Siegnął po broń?!

Andy przytaknął.

- Ale... po co? Przecież spełniliśmy warunki... Przecież... - Ludwik nerwowo wymachiwał rękoma.

Nagle stał się bezradny niczym dziecko. Ani Natura, ani Bestia nie stworzyły go do kierowania ludźmi.

Posadę swą utrzymywał tak długo tylko dzięki względnemu spokojowi, który, najwyraźniej, właśnie dobiegał końca.

- A ona? - wskazał na nieprzytomną.

- Znaleźliśmy ją w pobliżu magazynu. Świeżo przemieniona.

- Może coś wiedzieć?

- Właśnie dlatego przytargaliśmy ją tutaj. Poza tym - nie wygląda zbyt dobrze. Cholera wie, czy wyjdzie ze śpiączki - wytłumaczył Andy, oficjalnie prawa ręka Ludwika. Miał wszystko, czego jemu brakowało - młodość, siłę, determinację. Mimo tego, że w bezpośredniej konfrontacji ze swym panem niechybnie by poległ, właśnie jego uważano za faktycznego władcę Stapleport.

- Zamknijcie ją na dole. Trzeba dowiedzieć się, co tak naprawdę zaszło. Trzeba jak najprędzej wyjaśnić ten incydent. Inaczej... nie będzie ciekawie.

* * *

June zbudziła się w ciemnym, ciasnym pomieszczeniu. W powietrzu pachnącym zgnilizną unosił się kurz. Usiadła, oparła plecy o ścianę. Choć żadne światło tu nie docierało, widziała całkiem nieźle. Na powierzchni skóry miała kilka sińców i zadrapań. Mimo to nie doznawała bólu. Ani chłodu, który przecież powinna odczuwać, leżąc w kałuży i mając na sobie tylko spodnie oraz potarganą koszulę.

Widziała, czy też raczej czuła mężczyznę, wartującego po drugiej stronie masywnych drzwi. A więc była więźniem. Chciała wstać, lecz zachwiała się. Nic jej nie dolegało, po prostu zupełnie opadła z sił. Nadal odczuwała przemożną senność, jak po przebudzeniu z narkozy. Jednocześnie mgliście zdawała sobie sprawę, że coś w jej wnętrzu uległo przemianie. Nie potrafiła nazwać tego osobliwego, jeżącego włosy na głowie, a jednocześnie dziwnie satysfakcjonującego uczucia. Chwilowo wolała też nie dociekać jego źródła.

Zasnęła na kolejnych kilka godzin. Po przebudzeniu była jeszcze bardziej wyczerpana. Paliło ją wewnętrzne pragnienie... No właśnie - czego? Nagle otaczający ją świat stał się zupełnie niezrozumiały. Zadała sobie pytanie, co tutaj robi i nie potrafiła odpowiedzieć. Nie potrafiła odpowiedzieć na całe mnóstwo innych pytań, które po prostu cisnęły się na usta. Dlaczego jestem słaba? Dlaczego nie jest mi zimno? W końcu - kim jestem? Zmieniła się - tego jednego była pewna. Zmieniła, ale nie wiedziała jak, a raczej - w co.

Instynkt podpowiedział jej, że to nie czas na podobne rozważania i niebawem znów zapadła w głęboki sen. Ten sam instynkt rozbudził ją. Poczęła rozglądać się dookoła. Mrok stopniowo jaśniał, choć nikt nie zapalił światła - to jej oczy widziały coraz lepiej. Dostrzegła ruch w kącie pomieszczenia. Bezszelestnie wstała, dwoma susami pokonała odległość dzielącą ją od celu. Uchwyciła w dłonie szczura.

Spanikowane zwierzę piszczało, wierzgało łapkami. June trzymała je mocno, z zaciekawieniem, wręcz z perwersyjną przyjemnością obserwując bezowocną walkę o życie. Wgryzła się w pulsujące ciało, zassała krew z całych sił. Ciepła posoka spływała po gardle, łechcąc cudownie.

Senność stopniowo mijała, zastępowana przez uczucie bezmiernej siły. Każda kropla oznaczała potężną dawkę energii. Gdy zupełnie wyciśnięte z soków ciało odrzuciła pod ścianę, czuła się wszechpotężna. Nagle jednak padła przerażona na ziemię, zdawszy sobie sprawę, co właśnie uczyniła. Starła rękawem koszuli krew z drżących warg. Wzdrygnęła się. Nie, nie była sobą, gdy to robiła, zupełnie straciła świadomość! Coś nią zawładnęło, to coś, czego nie potrafiła nazwać.

„Boże, Boże, cóż ja uczyniłam?!” Łzy same napłynęły jej do oczu.

Cierpienie, samotność, brak zrozumienia dla tego, czym się stała - dane jej było wcześniej poznać te uczucia. Teraz przeżywała je ponownie, wtulona w kąt ciemnego pomieszczenia, zalana łzami, przerażona, pragnąca już tylko śmierci czy wybawienia - jakkolwiek to nazwać. Tym razem jednak ból był nieco słabszy; niezauważalnie, ale słabszy.

* * *

Naprzeciw Księcia, przy dębowym, siedemnastowiecznym biurku, siedział Andrew.

Obserwował wyniosłe oblicze Ludwika uważnie, ani na moment nie spuszczać go z oczu. Ludwik natomiast wzroku młodego wampira unikał niczym ognia. Wyginał szyję w stronę okna, jakby chcąc ujrzeć wreszcie spokojne drzewa, co z tej perspektywy było niemożliwością. Cała sytuacja zakrawała na absurd. W pewnym momencie Andy nie wytrzymał i zachichotał pod nosem.

- Zaraz świt - bąknął Książę, speszony jego reakcją.

- Wciąż nie ustaliliśmy, co z anarchistami - Andy najwyraźniej nie zamierzał tak łatwo dać za wygraną.

Ludwik wstał, zupełnie już wyprowadzony z równowagi. Przeszedł się dwukrotnie naokoło biurka, oparł nań ręce, co jednakże nie uspokoiło go ani odrobinę.

- Mówiłem już, że nie wiem! Skąd mam, do cholery, wiedzieć!? Tak samo, jak ty, nie mam pojęcia, co tam w ogóle zaszło!

- To nie ma nic do rzeczy. Zaatakowali nas i teraz muszą ponieść surową karę. Dziwię ci się, naprawdę dziwię się, iż tak długo tolerowałeś ich wybryki. Czas najwyższy zrobić z tym porządek. Wydadź rozkaz, a wszystkich ich, jeden obok drugiego, ponabijamy na pale. Skoro świt..

- Nie. Nie rozumiesz?! - warknął wściekle Ludwik, unosząc w górę rękę. Nieomal rozłupał mebel na pół, lecz szczęściem w porę przypomniał sobie o jego bezcennej wartości. - Nie dopuszczę do tego! W tym mieście ma być cisza, cisza i spokój. Żadnych rozruchów, rozumiesz?! Sprowadź tu któregoś z anarchistów. Myślę, że... dojdziemy do porozumienia.

Andy wstał. Rzekł, z pozoru zupełnie spokojny, choć w istocie rozjuszony:

- W ten sposób prędzej czy później utracisz władzę. Wiesz o tym - głupcze, dopowiedział w myślach.

- Nie jestem głupcem! - oczy Księcia zapłonęły żarem, a ostre szpony błysnęły w powietrzu. - Wynoś się stąd!

Drzwi trzasnęły.

* * *

Przerażona June klęczała w kącie piwnicy. Posiłek ze szczura nie wystarczył na długo. Gdy dał o sobie znać głód, równocześnie poczęły ją opuszczać wszelkie ludzkie uczucia. Teraz czuła jeszcze tylko strach, z każdą chwilą słabnący, tracący prym na rzecz wściekłości.

Drzemiąca wewnątrz dziewczyny Bestia nie miała kłopotu z zawładnięciem jej ciałem i umysłem. Skrywając się w najgłębszych zakamarkach podświadomości, wyczekiwała odpowiedniej chwili, by zaatakować. A gdy to już uczyni, gdy się dostatecznie nasyci - wtedy znów przycichnie, wręcz zaśnie, pozwalając June torturować się własnym przerażeniem i tym samym czyniąc jej opór słabym.

Za drzwiami toczyła się rozmowa.

- Jak się czuje? - zapytał Andy strażnika.

- Odzyskała przytomność. Próbuje walczyć, ale nie jest dość silna. Niewielka szansa, że z tego wyjdzie.

Nie każdy dostępował zaszczytu istnienia w wampirzym ciele. Stan ten mogły osiągnąć wyłącznie osoby o silnej psychice, bowiem bezlitosne działanie Bestii natychmiast doprowadzało do szaleństwa mniej odpornych.

- Kiedy się ostatnio odżywała?

- Wrzuciłem jej szczura kilka godzin temu... - wytłumaczył strażnik, zwieszając wstydliwie głos.

- Otwieraj, Timmy - krótko odparł wampir, nie chcąc wdawać się w kolejną kłótnię.

Strażnik posłusznie wykonał polecenie.

Drzwi szurnęły o zakurzone klepisko. Wzniesiony pył skutecznie uniemożliwił wejrzenie do wnętrza celi, Andy jednak w mgnieniu oka przystosował wzrok do chwilowych warunków i z niemalym zaskoczeniem stwierdził, że w pomieszczeniu nie ma niczego, prócz zdechłego szczura.

Wolno, ostrożnie poczynił krok przed siebie, raptem jednak zmuszony został do natychmiastowej reakcji. Uwieszona ponad wejściem June zwała się nań z wyciągniętymi pazurami.

Z szybkością błyskawicy uskoczył w bok. Przyklęknął i, napiąwszy wszystkie mięśnie, rzucił się na dziewczynę. Uderzyli o ścianę. Złość wezbrała w June, wściekle wyszczerzyła długie kły, ale żelazny chwyt wampira paraliżował ją zupełnie. Bestia zrozumiała, że ta walka nie ma sensu i Andy ścisnął już ciało zalanej łzami dziewczyny o twarzy niewinnej jak twarz niemowlęcia.

Puścił. Zsunęła się do jego nóg, głowę skryła w ramionach. Andrew odczuwał niewymowną satysfakcję, obserwując jej cierpienie. Upajał się nim, chłonał każdą cząstką świadomości.

- Nakarm ją, nim zupełnie oszaleje. A jutro załatw trochę zapasowej krwi, najlepiej z miejskiego szpitala. Znasz, kogo trzeba. Gdyby coś się zmieniło, gdyby jednak doszła do siebie - poinformuj mnie - mówił do strażnika, choć patrzył wciąż na June. Skierował się do drzwi, ale jeszcze w progu przystanął.

Uśmiech zadowolenia gościł na jego twarzy. Naprawdę wiele wysiłku potrzebował, aby wreszcie opuścić piwnicę. Cóż, bądź co bądź był tylko wampirem.

Gdy odszedł, Timmy, pchany ciekawością, wkroczył do celi. Stał nad June dokładnie tak, jak przed chwilą Andy. Nie czerpał radości z jej cierpienia, ale też nie patrzył na dziewczynę ze współczuciem, jakby to miało miejsce jeszcze kilka tygodni temu. Szukał w sobie tej dziwnej satysfakcji, która przecież

wyraźnie emanowała z oczu przełożonego. W końcu zrozumiał jednak, iż to nie była kwestia odszukania jej, a po prostu - nabycia.

* * *

Późna noc, kołdra gęstej mgły tuli miasto. Jedna z bardziej ruchliwych (za dnia) portowych ulic. Zakapturzony czeka w umówionym miejscu co najmniej kwadrans, niecierpliwiąc się coraz bardziej. Wie, że nie jest tu bezpiecznie, a każda minuta zwłoki może go kosztować życie. Rozgląda się nerwowo, przechadza od latarni do latarni. Gdy jest już niemal pewien, iż został wykiwany, we mgle, wyłaniając się z bocznej alejki, majaczy wysoka postać.

Swego zleceniodawcę rozpoznał momentalnie po charakterystycznym chodzie - wielkopańskim, lecz odrobinę sztucznym. Najwyższy czas - myślał, poirytowany oczekiwaniem, choć na głos o tym nie wspomniał.

- Wybacz, że tak późno - oznajmił Andy ku zaskoczeniu zakapturzonego. - Musiałem coś jeszcze załatwić. Więc, ile miała wynosić zapłata?

- Pięć tysięcy.

- Pięć tysięcy... - zamruczał, wyciągając z kieszeni płaszczu zwitek banknotów. - Trzymaj. Tu jest trochę więcej, reszty nie trzeba.

Zakapturzony podziękował skinieniem głowy, zleceniodawca wciąż jednak nie odchodził, prowokując niezręczną sytuację.

- Powiedz mi - zapytał niespodziewanie - po co ci te pieniądze?

- A nie mówiłem już? Na... operację matki... - chrząknął wstydliwie chłopak.

Andy wybuchł gromkim śmiechem.

- Wy... Przemienieni i te wasze śmieszne problemy! Najwyższy czas zrozumieć, że nie jesteś już człowiekiem. I wiesz co? Dam ci dobrą radę - zapierdol swoją starą, a potem ssij jej krew, napawając się przerażeniem, lśniącym w jej oczach. Ono tak zostaje, niczym zakłete... To naprawdę cudowny widok! Zapierdol ją, a będziesz wreszcie wampirem, nie ciotą bez jaj!

Odwrócił się na pięcie i odszedł, nie potrafiąc pohamować rechotu. Gardził nimi. Większość młodych nie była w stanie przystosować się do nowego życia, tkwiąc po uszy w starym, ludzkim. Wszyscy oni kończyli jednakowo - jako garść pyłu.

* * *

Powoli, acz konsekwentnie, June przyjmowała do świadomości pewne fakty. Póki czyniła to rozumowo, w umyśle jej powstawał zupełny mętlik. Zorientowała się, iż rozum nie ma tu nic do rzeczy. Badała instynktem. Nigdy wcześniej tak bardzo nie ufała instynktowi, ale też nigdy nie działał on w takim natężeniu. Zamknąwszy oczy, przeszedłszy wręcz w stan umysłowego uśpienia, widziała więcej. Myśli przesłaniały rzeczywistość, toteż je właśnie tłumiła.

Niemniej nie potrafiła wyciszyć ich zupełnie. Zerknąwszy na zwłoki szczura, naraz nachodziły ją pytania i wątpliwości. Za każdym razem te same, a odpowiedź nigdy nie nadchodziła. Wyłączenie umysłu pozwalało zapomnieć, oderwać się od nieustannego cierpienia. To było jak... medytacja.

Lecz w końcu wątpliwości powracały, więc, by ukoić ból, świadomie wyzbywała się uczuć i myśli. Płacz, wrzask, lament, możliwe do powstrzymania kosztem człowieczeństwa - tak właśnie działała Bestia.

Timmy przyszedł po kolejnym ataku. Szczur prędko przestał piszczeć. Odrzuciła wyspane do ostatniej kropli ciało. Spojrzała na zakrwawione ręce, zadrżała. Łzy napłynęły do kącików oczu, lecz niespodziewanie, niby pod wpływem natchnienia, uniosła głowę wysoko. Strażnik zobaczył zupełnie inne oczy - zwierzęce, bezuczuciowe, nie należące do niej. Do tej pory kojarzył ją z niewinnością.

Teraz obserwował jeden z etapów przemiany i widok ten... przypadł mu nawet do gustu.

Dziewczyna odeszła w kąt. Wtuliła się weń jak pies, szukający kryjówki przed wściekłym panem. Czowała, że przeżywa teraz moment zwrotny w procesie przemiany. Na chwilę oślepla, lecz zaraz odzyskała wzrok. Obrazy, które zobaczyła, przerażały swą jaskrawością. Na moment stała się kimś innym, swym... stworzycielem. Poznała go od razu - nie umysłem, lecz instynktem, zupełnie jak niemowlę poznaje matkę.

Weszła w jego ciało, widziała jego oczami, słyszała jego uszami, a co najistotniejsze - czuła jego duszą, która powoli wyciekała z materialnej powłoki. Obrazy, które zobaczyła, brutalne i krwawe, realne w każdym szczególe, pozwoliły jej zrozumieć, tym razem - umysłowo, kim tak naprawdę jest.

* * *

Wewnątrz magazynowej hali panowały egipskie ciemności. Między wielkimi, przeżartymi rdzą kontenerami grupa osób prowadziła negocjacje. Najwyraźniej nie przeszkadzała im ciemność, zgoła nawet odwrotnie - czuli się tutaj swojsko, co łatwo było wydedukować z uśmiezków i lśniących oczu. Pertraktacje przebiegały spokojnie, obydwie strony wyraźnie dawały do zrozumienia, iż są nimi usatysfakcjonowane.

Zakapturzony klęczał na jednej z podpór, podtrzymujących dach. Nie miał kłopotów z odczytaniem najdrobniejszych nawet gestów, choć mocno zaciskał powieki. W tej chwili jego świadomość swobodnie buszowała w umyśle któregoś z anarchistów, czego ofiara nawet nie podejrzewała.

Wyznaczone mu zadanie było stosunkowo proste. Mógł, więcej - powinien wykonać je dużo wcześniej, zdecydował się jednak zaryzykować. Słuchał. Ot, z czystej ciekawości, w końcu od niedawna przynależał do tego środowiska, a wiedzy o nim posiadał ilość znikomą. Siedział więc cierpliwie i nasłuchiwał, chcąc się dowiedzieć, jakie interesy prowadzą wampiry.

Jakaś broń, sto sztuk, nie wiadomo po co, ale nikomu nie zależało na tym, aby się dowiedzieć. Oto pieniądze, tam znajdziecie towar... Normalka - zwykły, uczciwy interes, na porządku dziennym wśród żywych ludzi. Spodziewał się czegoś ciekawszego, choć, między Bogiem a prawdą, zupełnie nie miał pojęcia czego.

Najety został przez osobistość doskonale znaną zarówno wśród elit, jak i wampirzego pospólstwa Stapleport. Zresztą, któż mógł nie znać Andrew? Jego przecież uważano za faktycznego władcę miasta. Co prawda nie on wydawał dyrektywy, ale to nie miało żadnego znaczenia - najczęściej on był ich autorem. Zręczny manipulanta, na pierwszy rzut oka szczery, a w głębi duszy podstępny do szpiku kości. W każdym jego słowie należało szukać intrygi.

Właśnie dlatego zakapturzony już na samym początku zapytał - dlaczego ja? Bo to musi być ktoś spoza obozu Księcia - mówił Andy - ktoś neutralny, mało popularny, najlepiej nieznan. No i ktoś, kto chce zarobić. Chcesz? Chciał. A oferta - kusząca to mało powiedziane! Pięć tysięcy za stworzenie pozorów, które ludzie Andrew wykorzystają sami.

Wykonał trzy głębokie wdechy dla oczyszczenia umysłu. Skupił się, wybrał ofiarę. Jeden z anarchistów nosił przy pasie pięknie połyskującego Smith&Wesson'a. Negocjatorzy właśnie kończyli rozmowy. Główni przedstawiciele obozów - Derek i sam Andy - podali sobie ręce. -"Miło było" - rzekł anarchista. Trwało to moment. To, co miało miejsce zaraz potem, dalece krócej.

Pasjonat broni błyskawicznym ruchem dobył rewolweru. Dostał kopniaka w gardło, nim jeszcze zrozumiał, co w ogóle uczynił. Strzał. Kula przebiła ramię dziewczyny. Olbrzym rozharatał szponami tors nacierającego chłopaka. Hałas, łoskot, uderzenia stali, jęki bólu, dzikie wrzaski... Wszystko to trwało krócej, niż feralne miło było. A gdy bitwa ustała, zakapturzony znajdował się w hali zupełnie sam. Odczekawszy jeszcze chwilę, zeskoczył z podpory. Wylądował bezszelestnie kilkanaście metrów niżej.

Żaden szmer, nie licząc pisku szczurów, nie docierał do jego uszu, toteż pewnie ruszył ku tylnemu wyjściu. Ostrożnie wychylił głowę za drzwi. Cisza. Skreślił w prawo, rozglądając się gorączkowo. Zaczęło padać. Po chwili deszcz siekł zawzięcie, zamieniając ulice w koryta rwących potoków. Zakapturzony przyspieszył.

Wbiegł za róg. Zdębiał. Smith&Wesson zwracał na niego swe zacienione oko. Czyżby jakimś cudem... Nie miałby kłopotów z wyminięciem kul, bo anarchista stał dość daleko; nie miałby, gdyby potrafił wykorzystać swe umiejętności w pełni, ale jako niedawno przemieniony czasem tracił pewność siebie. Trzy kule - dwie w tors, jedna w ramię - powaliły go na ziemię. Krew płynęła z klatki piersiowej małutkimi strumyczkami. Nie miał jej zbyt wiele, odżywił się dawno.

Zobaczył nad sobą szyderczo roześmianą twarz napastnika. W oddali rozległ się wrzask. To go uratowało. Mrugnął powiekami (nie potrafił wyzbyć się tego nawyku) - anarchisty już nie było. Zastąpił go wampir Księcia.

- Głupek - syknął.

Zakapturzony znów był sam. Krew ciekła z zasklepiającej się wolno rany. Głód, czuł głód. Ekspłodował on w nim tak nagle, że nawet nie zauważył, kiedy Bestia przejęła władzę nad jego świadomością. „Głód. Muszę pić krew. Głód. Krew, krew, krew... Piiiiiiiiiiiiiiiićććććććććććcc!!!”

Nozdrza drgnęły. Wyczuł. Wrócić do hali. To tu. Teraz w prawo. Ulica. Krew, pić, pić krew, głód, głóóóó! Znów zakręć. Skok na dach. Alejka. Widzi ją. Widzi... siebie? Ona, ja... dziewczyna idzie powoli.

Zakapturzony wrzasnął szyderczo, chciał zobaczyć przerażenie w jej źrenicach. Spotkał go zawód. Nie słyszała. Już blisko. Skok. Szyja. Głód. Krew. Piiić...

Początkowo przyjemność była nikła, lecz zaraz potem - ekstaza, mililitry ekstazy. Chłonał je, jeden po drugim. „Pozbawię cię życia, kurwo. Wyssę je z ciebie. Czujesz, jak ucieka, jak wypływa? Och, tak, rzucaj się, stawiaj opór, głupia kurwo! Jesteś teraz moja!!! Ha! Czego chcesz? Żyjesz jeszcze? Już niedługo. Taaak, taaaak!!! Daj mi jeszcze! Czuję tę czystość! Spływa po moim gardle, ciepła, słodka... niewinność. To lubię. No krzycz! Co, nie masz już sił? Jeszcze się podnosisz? Spójrz mi w oczy!!! I co, co widzisz? Co...”

Dziewczyna zassała. Piła zachłannie jego posokę wymieszaną z własną. Wieczne przymierze. Teraz stanowimy jedność, wampirze... Ojczy! Nasyciła się wreszcie. Odzyskała świadomość. June z powrotem we własnym ciele. Koszmar dobiegał końca.

Tak, teraz wiedziała, kim naprawdę jest.

Zarazem poznała coś równie cennego - wycinek przeszłości. Wysysając zakapturzonego, pozyskała część jego osobowości, pamięci, umiejętności. Pamiętała umowę z Andrew, jakby sama ją zawarła. Wiedziała o zdradzie Andrew.

Nie wiedziała jeszcze, jak może tę wiedzę wykorzystać.

* * *

Istniały w Stapleport miejsca, gdzie toczyło się nocne życie. Nie było ich co prawda wiele, lecz to tylko sprzyjało tworzeniu się większych zgromadzeń. One zaś stanowiły smaczny kąsek dla zbuntowanych książąt nocy. W wampirzym kodeksie najświętsza zasada, zwana Maskaradą, określała, iż obowiązkiem każdego wampira jest przebywanie w ukryciu, nie zwracanie na siebie oraz swe wyczyny uwagi ludzkiej społeczności. Faktycznie nikt w wampiry nie wierzył i nawet, jeśli ich działanie zostało wykryte, maskowano je przeróżnymi teoriami zastępczymi. To jest oficjalnie nikt nie wierzył; nieoficjalnie istniały specjalne agendy, powołane w celu ich tropienia.

Plac Staromiejski, pobłyskujący neonami knajp i burdeli, stanowił wyśmienite miejsce na nocne schadzki, a jako że nikt przy zdrowych zmysłach nie wychodził z domu po zmierzchu, przebywająca tu mieszkanka miała charakter kryminalno-nowobogacki. Ulice zastawione czarnymi Mercedesami, garnitury od Armaniego i kubańskie cygara - wszyscy podpadali pod ten model.

Punktualnie o północy na plac z ogłuszającym rykiem wdarła się kolumna motocykli. Część śmietanki towarzyskiej momentalnie odjechała z piskiem opon. Reszta albo - z rzadka - niebawem odważna, albo zajmująca zbyt wysokie stanowiska, by zhańbić się ucieczką, przeżyła się z uniesionymi głowami.

Motocykliści zaparkowali w równym rzędzie. Tak samo stanęli, każdy z łańcuchem, kijem lub czymkolwiek innym, co nadawało się do wymachiwania (oraz zadawania ran). Do przodu wystąpił szczupły chłopak o kruczoczarnych, lekko falistych włosach. Zlustrował twarze gentlemanów oderwanych od zabawy; widać było po starannie przystrzyżonych wąsikach, nalanych twarzach i drogich garniturach, że to właśnie oni stanowili potencjał ekonomiczny miasta. Przywódca anarchistów parsknął śmiechem w zachmurzone niebo. Rozgłos murowany!

- Do uctowania! - krzyknął.

Kieliszki z szampanem wyładowały na bruk.

Wampiry dorwały się do tłustych szyj panów i lśniących diamentami pań. Ciszę, która na ułamek sekundy zapadła przed atakiem, rozciął jednolity wrzask bólu i przerażenia. Tryskająca strumieniami krew zalała plac, tworząc prawdziwe jezioro. Ktoś padał z płaczem, parujące ciała podskakiwały w konwulsjach. Po chodniku toczyła się zmasakrowana głowa; zwisał fioletowy język, oczy zwrócone w górę wzywały na pomoc niebios. Jakiś pechowiec nie potrafił skonać, krztusił się błotem, wpychanym mu do ust. Uspiskisko ciał, powykręcanych w niemożliwe figury, zdobiło plac. W ekstatycznych jękach książęta nocy rozmazywali posokę na twarzach.

W oddali rozbrzmiało zawodzenie roju policyjnych syren. Ze wszystkich stron zjeżdżały na plac radiowozy. Policjanci wyskakiwali z samochodów, zasypując zbiegowisko gradem kul. Salwa grzmiącego śmiechu stanęła im naprzeciw. Miast kul, powietrze zaczęły przecinać ciała gliniarzy. Radiowóz zaskowyczał, spadając wprost na transporter brygady antyterrorystycznej. Eksplozja rozsadziła szyby pobliskich kamienic. Ogień skwierczał, tworząc wspaniałe tło dla jęku konających. Niebawem lament umilkł. Zawył wiatr, podrywając do góry strzępy zakrwawionych krawatów.

Od przyjazdu anarchistów minęło kilkanaście minut. Nazajutrz w policyjnych raportach odnotowano ponad sześćdziesiąt zgonów.

* * *

Kamienice w starej części miasta rozpadały się. Dziurawe rynny przeciekały, ze ścian sypał się tynk, obrapane okna łoskotały przy najdelikatniejszym zefirku. Zakapturzony spoglądał w szyby na trzecim piętrze, gdzie wciąż, mimo późnej pory, paliło się światło. W końcu, po długim wahaniu, wszedł do budynku. Przegniłe schody trzeszczały przy każdym kroku.

Zapukał. Czekał dłuższą chwilę, lecz nikt nie otwierał. Zaniepokojony, zastukał mocniej. Cisza. Nacisnął niepewnie na klamkę. Ustąpiła. Zawiasy zajęczały. Przedpokój tonął w mroku. Smuga światła omywała podłogę od strony kuchni. Szedł cicho, na samych koniuszkach palców. Zajrzał do sypialni - kołdra w nieładzie, poduszka na podłodze. Na stole parująca herbata.

Przeszkłone, mlecznobiałe drzwi kuchenne były zamknięte. Niewiele mógł przezeń zobaczyć, jedynie ogólny zarys pomieszczenia. Na ile się orientował, przy stole nikt nie siedział. Może wyszła do sąsiadki? - pomyślał, atoli wzięwszy pod uwagę porę nocy, stwierdził, że to niedorzeczność.

Gdy tylko wszedł do środka, zamarł z przerażenia. Początkowo nie dowierzał własnym oczom. Przetarł je dwukrotnie. Widok wciąż ten sam. Padł na kolana.

- Mamo... - wycharczał.

Chciał płakać, ale nie mógł, nie potrafił. Rozrywał go gniew, jedno z niewielu uczuć, których Bestia nie tłumiła. Dotknął jeszcze ciepłych warg. Strużka krwi ciekła wolno po szyi. Czuł jej zapach. Głód... Nie!!! Bestia rosła w siłę.

Wiedział, że jeszcze sekunda, sekunda dłużej i wbije w nią kły, we własną matkę, wbije i będzie pił, pił, pił... Głód, czuł głód. Wskoczył przez okno. Biegł ile sił w nogach, byle pozbyć się z nozdrzy tego wstrętnego, a zarazem rozkosznego zapachu. Biegł długo, skręcił za róg.

I wtedy zobaczył go. Andy powoli zatapiał się we mgle. Spojrzał za siebie, a zakapturzony był pewien, że widzi uśmiech na jego twarzy. June, choć daleko, również cierpiała. Połączeni na wieki..

* * *

Ostatnimi czasy światło na piętrze rezydencji Księcia rzadko gasło. Ludwikowi łatwiej było rozmyślać przy blasku świec, a myśleć miał nad czym. To, co początkowo wydawało mu się najgorszą z możliwych, lecz mało prawdopodobną ewentualnością, teraz istniało już jako fakt dokonany.

„Bez przerwy zadawał sobie pytanie, czy mógł zapobiec masakrze. Mogłem, z pewnością mogłem, tylko jak?! I dlaczego, dlaczego nie myślałem o tym wcześniej... Przecież stosunki z anarchistami układały się tak pomyślnie! Skąd ta nagła agresja z ich strony? Czyżby planowali atak wcześniej? Nie, z pewnością nie! Inaczej nie negocjowaliby kontraktu. Więc skąd?”

Wciąż te same pytania...

Jednocześnie w wyobraźni budował najbardziej prawdopodobne scenariusze rozwoju sytuacji. Miał pewność, że chicagowska Camarilla wyśle do Stapleport sędziów (jeżeli już tego nie uczyniła) w celu wyjaśnienia zamieszania. Będzie musiał się bronić. Tylko jakimi argumentami? Nie miał żadnych! Zarzucą mu opieszałość - fakt. Zarzucą głupotę - fakt. Zarzucą w końcu brak poszanowania dla Maskarady - i choć to już nie do końca prawda, nie zdoła się obronić.

„Andy, gdzie jest Andy! On coś wymyśli, obroni mnie... Dlaczego, dlaczego nie rozkazałem mu rozprawić się z anarchistami, jak sam sugerowałem?! Andy, wybacz, ale broń mnie! Gdzie jesteś teraz?”

Andy był w Chicago.

Wtem Ludwik przypomniał sobie o dziewczynie. „Ona może coś wiedzieć! Od przemienienia minęło nieco czasu, więc być może odzyskała już władzę nad umysłem”...

Zbiegł czym prędzej na dół.

* * *

Początkowo przemiana June objawiała się bólem i rozpaczą (zresztą nadal tak było), lecz teraz dziewczyna zaczęła pozyskiwać dziwne zdolności. Przede wszystkim odzyskiwała słuch. Fascynowało ją to zjawisko, ponieważ doświadczała go po raz pierwszy w życiu. Prawdę powiedziawszy, to była jedyna rzecz, dzięki której nie postradała jeszcze rozumu. W chwilach zupełnego zagubienia, gdy skulona w kącie rwała włosy z głowy, jak skarcone dziecko bierze do ręki zabawkę, tak ona zaczynała nasłuchiwać. To przynosiło ulgę, w pewnym stopniu wręcz pozwalało cieszyć się nowym wcieleniem.

Nasłuchiwała cały czas, ale tylko niekiedy udało jej się wyłowić jakiś dźwięk, czy raczej słowo, bo tylko je słyszała, wypowiedane przez strażnika:

- Nuda...
- Kiedy mnie ktoś wreszcie zmieni?
- Cholera, jest tam ktoś?!
- Nie no, kurwa, nie wytrzymam! Ileż można tak stać?!
- Nażryj się! - syknął, wrzucając do celi szczura.

Boże, jak dawno nie jadła! Jeszcze chwila i głód rozsądziłby jej trzewia. Ssała, szczur pulsował w dłoniach. Wypiła bez przerwy na oddech. Wzdrygnęła się nieznacznie. Stopniowo pożeranie zwierząt stało się dla niej rzeczą najzwyczajszą, jak niegdyś wycieranie nosa, oddawanie moczu i kału. Teraz już tego nie robiła, nie miała takich potrzeb, zawęziły się one do jednej - picia krwi. A skoro była zmuszona robić to do końca życia, jakkolwiek długo by ono trwało, musiała się przyzwyczaić - w ten sposób właśnie rozumowała, co początkowo ją samą zaskakiwało.

Znów dobiegły ją przekleństwa strażnika, cała ich wiązanka. Naraz ustały, strażnik wyraźnie przestraszył się, wyprostował (to też słyszała?). Drzwi otworzono. Do pomieszczenia wkroczył sędziwy mężczyzna. Nie widziała go wcześniej. Wyczuła, jak roztacza aurę mocy i strachu. Nie potrafiła ocenić, co przeważa.

Zaczął mówić. Szybko ruszał ustami, lecz June nie słyszała. Czyżby jej słuch działał wybiórczo, tylko na niektóre osoby? Czy może, nie dość jeszcze rozwinięty, tylko momentami? Mężczyzna na chwilę umilkł, potem znów coś mówił, gniew wzbierał w nim, co dostrzegła na twarzy i równocześnie wyczuła. Widząc, że jego mowa nie odnosi skutku, Ludwik umilkł.

- Co jest, głucha, czy już zupełnie nienormalna?! - usłyszała, choć nie poruszył ustami. - No odezwij się, dziwko! - znów brak ruchu.

Wszedł w jej umysł. Odrzuciło ją momentalnie. Uderzyła o ścianę. Ból rozsadał czaszkę. Nie panowała nad swoim ciałem.

- Mów, co się wtedy wydarzyło! Słyszysz?! Mów, bo rozszarpie cię na strzępy!

Obcy byt szukał rozpaczliwie czegoś w jej pamięci. Nie znalazł.

Książę warknął przez zęby, po czym wyszedł, trzaskając drzwiami (June nie słyszała). Padła przerażona na ziemię. Zrozumiała, że coś łączyło ją z tym mężczyzną - oboje znaleźli się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiednim czasie. On również miał problem, którego nie potrafił rozwiązać, a od którego zależało jego życie. Był tak samo zrozpaczony i tak samo nie wiedział, gdzie szukać pomocy. A co najważniejsze - tak samo jak ona, nie zawinił. Pamiętała przecież wydarzenia w magazynie! Cóż jednak z tego, skoro nie potrafiła mu o tym powiedzieć? O ironio! Czyżbym posiadała jeszcze współczucie?

Odrzuciła na chwilę tę myśl, bowiem inne pytanie zaprzętało jej głowę. Dziwne uzdolnienia - już wiedziała, że to nie słuch w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Słyszała słowa tak naprawdę niewypowiedziane. Choć początkowo przekraczało to jej możliwości pojmowania, zaraz uświadomiła sobie, co się tak naprawdę działo.

Ależ głupia jestem! Nie mogła mieć pewności, ale... Skupiła się, wyczuła za drzwiami strażnika. Wciąż stał na baczność, choć starzec dawno już odszedł.

- I co? Jak ci się stoi? - pomyślała.

- Zamknij się! - odparł w głowie Timmy, czym sam siebie zaskoczył.

- Otwórz drzwi - pomyślała.

Otworzył, zaskoczony jeszcze bardziej. Po czym legł na klepisko nieprzytomny.

June wybiegła. Wspięła się po schodach, po drodze zaliczając dwa upadki. Blask kinkiet oślepiło oczy, od kilku dni widzące tylko ciemność. Ciężkie drzwi nie chciały ustąpić, spanikowała, pomyślała, że zamknięto je na klucz. Zaskrzypiały. Pędziła przez ogród, dopadła furtki. Żwirowa droga pochylała się ku miastu. Widziała dobrze jego światła. Najwidoczniej zmierzch zapadł niedawno.

Odetchnęła dopiero wtedy, gdy wbiegła między wysokie kamienice. Spojrzała za siebie; nikt jej chyba nie gonił. Mimo to nadal biegła, tylko trochę wolniej. Skręciła za monopolowym. Zupełnie zaskoczona wpadła na mężczyznę.

- Ojciec?

Dotknął jej. Myśli zaatakowały falami, przyjmowała je biernie. Wieczne przymierze, jesteśmy jednością.

- Wiem, gdzie oni są - rzekła.

Współczucie? Być może. Niewiele dobrego mogła jeszcze dokonać.

* * *

Maszerowali ulicą, wszyscy wysocy i równie dostojni. Hiszpańskie bródki, starannie przystrzyżone wąsy, gustowne kapelusze. Ciemnoczerwone płaszcze po kostki z odwróconym znakiem krzyża na plecach - niemal święta inkwizycja. Twarde podeszwy wybijały równy rytm. Raz-dwa, raz-dwa... Patrzyli przed siebie. Twarze zimne, bez wyrazu, wprost skamieniałe.

Andy za nimi. Oczyma wyobraźni widział już siebie, jako oficjalnego władcę Stapleport.

Zapisały zawiąsy. Na piętrze paliło się światło, Ludwik w oknie pykał z fajki. Nie wyglądał już jak monarcha. Wtargnęli do holu bezceremonialnie, nie zdjęli płaszczy ani nawet butów, błocąc dywany. Księżę Stapleport czekał u góry. Wyraz zrezygnowania malował się na jego twarzy. Na widok podwładnego, który wszedł jako ostatni, oniemiał.

- Andy, ty...

Andrew odpowiedział chytrym uśmiechem.

- Jesteśmy tu... - zaczął sędzia, stojący na czele.

- Wiem, po co tu jesteście - Ludwik wpadł mu w słowo. - Byle szybko.

Nie potrafił oderwać wzroku od zdrajcy. W jednej chwili przestał martwić się o swój stołek, o swe życie, pragnął tylko roztrzaskać jego parszywy łeb. Miał swoją dumę.

- Otrzymałeś ostrzeżenie - ciągnął ze stoickim spokojem sędzia. - Drugiego nie będzie. Przez twoją ignorancję Maskarada została jawnie złamana. Nie zaprotestowałeś. Ileś miał czasu, aby rozprawić się z anarchistami? Nie uczyniłeś nic. To tylko dowodzi, jak małe znaczenie ma dla ciebie wampirze prawo. Ktoś taki nie może sprawować władzy, nie może nawet należeć do naszej społeczności. Wiesz, co to oznacza...

Ludwik wzruszył ramionami.

- Masz coś na swoją obronę?

Parsknął śmiechem.

- Chcesz coś powiedzieć? - sędzia zwrócił się do Andrew.

- Ja - zaczął, zupełnie już pewny sukcesu - zdradziłem - dokończył, wprawiając samego siebie w zdumienie. Zaskoczenie było tak wielkie, iż na chwilę stracił panowanie nad umysłem, zapomniał, że musi stawiać opór. - Ja zdradziłem. Z mojej winy anarchiści zaatakowali. Wynająłem wampira, który ich sprowokował. Zapłaciłem mu. Pragnąłem władzy za wszelką cenę. Ludwik sprawnie hamował konflikty, nie on zawinił. To ja. To ja zламаłem Maskaradę. To ja. To ja. To ja! I idźcie wszyscy do diabła!!!

Przełknął głośno ślinę.

* * *

Zakapturzony i June uciekali. Gdyby nie to, że połączyli swe siły, nie byłoby w stanie przezwyciężyć oporu Andrew. Gdyby nie to, że posiadali przewagę w postaci zupełnego zaskoczenia, mogliby jedynie pomarzyć o zawładnięciu jego umysłem.

Oddalili się na bezpieczną odległość. Z nagła wybuchł w nich głód. Poczuli węszyć. Wywęszyli, niedaleko. Dopadli chłopaka w ciemnej bramie. Ssali razem - ona z jednej, on z drugiej strony. Ona po raz pierwszy mogła docenić smak człowieka, bez porównania wspanialszy od smaku szczura. Ta krew była czysta, a przede wszystkim... niewinna. To potęgowało ekstazę - uśmiercanie niewinnego.

Oderwała się. Spojrzała w zimne oczy, lśniące zastygłym przerażeniem.

Nasycona Bestia zapadła w sen. Na poły człowiecze sumienie dało o sobie znać. On zniósł to lepiej, więcej doświadczył, nie takie rzeczy dane mu było czynić. Nie, nie żałował chłopaka. Bo i czemu miałby? Pamiętał za to doskonale obraz martwej matki. Żał ścisnął gardło. Ona po raz pierwszy zabiła człowieka i gdy dotarło to do jej świadomości, przepełnił ją ból, tak jak wtedy, gdy pierwszy raz wysysała szczura, tyle że tysiącokrotnie większy. Na domiar złego cierpienie potęgowała świadomość, że ona tego chłopca tak naprawdę nie żałowała. To był efekt uboczny, wywołany brakiem aktywności Bestii. Bo gdy się ona zbudzi - wtedy June znów zabije, i znów, i znów... I będzie wyć do księżyca, śmiać się, radować.

Boże, czy to jestem ja?! Czy można tak żyć?! Wiedziała, że można, w końcu się przyzwyczai. Na zawsze utraci swe człowieczeństwo, którego już teraz miała tak niewiele. Pragnęła je zatrzymać, lecz nie miała pojęcia, jak. Straszna to rzecz, chcieć płakać i nie potrafić...

Musieli uciekać, zegar tykał nieubłaganie. Mijali aleje, sklepy, śmietniki. Skręcili w lewo. Biegli teraz szeroką ulicą. Mało czasu, mało czasu... W oddali zamajaczyły wielkie hale. Zakapturzony chciał wciągnąć June do starego, opuszczonego budynku, lecz ona nagle wyrwała się i biegła dalej. Po krótkim wahaniu ruszył za nią.

Biegła dalej, bo nagle przypomniała sobie, co to za ulica, więcej - dokąd prowadzi. Znalazła w sobie tę małą, głuchą dziewczynkę, tę malującą, z marzeniami. Tę ludzką. Było jej tak mało - jakieś wspomnienia, przebłyski wspomnień, coraz szybciej zacierane przez Bestię. Nie chciała ich stracić, pragnęła tę dziewczynkę zachować razem z marzeniem o wschodzie słońca.

Ocean szumiał, fale rozbijały się o nabrzeże.

Wbiegli na molo, deski zaskrzypiały. Staęli na jego końcu. Zakapturzony o nic nie pytał. Złapał ją za zimną dłoń i strach uleciał.

Słońce wzeszło.

Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Nie ważne, kim jesteś, jakie posiadłeś moce i czego dokonałeś - zawsze jesteś tylko człowiekiem.

Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

styczeń 2002